Opowieści Skrzatów

o Zawidowie i Bernstadt auf dem Eigen

EUROREGION neisse–nisa–nysa

Interreg Polska-Saksonia
UNIA EUROPEJSKA
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

„Spotkania z baśniową historią dwóch bliźniaczych miast Zawidów i Bernstadt auf dem Eigen".
Projekt jest współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego
oraz ze środków budżetu państwa w ramach Funduszu Małych Projektów Interreg Polska – Saksonia 2014-2022

Projekt nr ERN–PL–19.11.06-793

Tekst
CEZARY WIKLIK

Ilustracje
SVIETLANA ALIEKSIEIENKO

Wydawca
GMINA MIEJSKA ZAWIDÓW
www.zawidow.eu

Realizacja
Wydawnictwo AD REM
al. Wojska Polskiego 91, Jelenia Góra
www.adrem.jgora.pl

ISBN 978-83-66458-93-2

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Wyłączną odpowiedzialność za zawartość niniejszej publikacji ponoszą jej autorzy.
Przedstawione poglądy nie muszą odzwierciedlać oficjalnego stanowiska Unii Europejskiej.

Opowieści Skrzatów

o Zawidowie i Bernstadt auf dem Eigen

Wstęp

Kacperek i Ambroży to dwa skrzaty, które wędrują przez Pogórze Izerskie, mieszkają w leśnych dziuplach, zaglądają w każdy kącik tej ziemi. Mają odmienne charaktery, ale obaj mają jedną wspólną cechę – są bardzo ciekawi wszystkiego, co ich otacza. Droczą się ze sobą, ale bardzo się lubią i wspólnie szukają odpowiedzi na stawiane sobie pytania.

Zaglądają do starych sadów, wspinają się na kościelne wieże, odkurzają stare kroniki miast i widząc otaczającą ich przyrodę zawsze starają się dowiedzieć – skąd się to wszystko wzięło, gdzie ma swój początek i co z tego wszystkiego wyniknie?

Są wszystkim życzliwe i przyjazne, więc i wszyscy są przyjaźni tej dwójce maluchów. Opowiadają im rozmaite historie, odpowiadając na pytania, a niekiedy sami snują rozmaite opowieści.

Kiedy Kacperek i Ambroży trafili do Zawidowa, urzekło ich to malutkie miasteczko, Koci Potok, a przede wszystkim opowieści o aniołach, które roztoczyły nad miastem opiekę tak wielką, iż jeden z aniołów – Michał Archanioł – pozostał na zawsze w herbie miasta.

Ale Kacperek i Ambroży nie byliby sobą, gdyby nie usiłowali dowiedzieć się wszystkiego o Zawidowie. A że cenią przyjaźń, to chcieli też wiedzieć wszystko o przyjaciołach miasta. Tym sposobem dotarli do historii niemieckiego Bernstadt auf dem Eigen. Miasta, którego mieszkańcy zaprzyjaźnili się z mieszkańcami Zawidowa i od lat wzajemnie poznają swoje sekrety, dzielą się legendami, zaznajamiają się z tym, co było ważne wczoraj i jest ważne dziś.

Z tych wędrówek i opowieści powstał pamiętnik skrzatów, którym postanowili się z Wami podzielić, stąd ta książeczka. Zapraszamy do lektury, do wędrówek uliczkami Zawidowa i Bernstadt, leśnymi ścieżkami wokół tych miast.

O Michale, który od wieku strzeże spokoju małego miasteczka

Kacperek i Ambroży nie zawsze spędzali czas w swojej chatce na skraju lasu. Zdarzało im się wędrować daleko i bardzo lubili zaglądać do zakamarków, do których nie zachodził nikt od lat. Ambroży nie był aż tak odważny, bo trochę się bał ciemności, ale ufał Kacperkowi, dla którego gęsty las, skały, tunele i pieczary były wyzwaniem.

Któregoś razu powędrowali nad Koci Potok. Niewielki strumień wcale nie był głęboki. Woda w nim płynęła czysta, powolutku, więc z przyjemnością usiedli odpocząć po wędrówce. Ambrożemu kleiły się oczy i ucinał sobie drzemkę, ale Kacperek rozglądał się uważnie i zobaczył niedaleko grube drzewo. A między jego korzeniami wejście do jamy podobnej do lisiej nory. Kilka takich minęli po drodze, a każda do tej pory była pusta, więc Kacperek spodziewał się, że i w tej nie będzie rudych lokatorów.

– Zajrzyjmy tam – powiedział budząc Ambrożego ze snu.

– Nikogo i niczego tam nie ma – burknął Ambroży, ale wstał posłusznie, bo wiedział, że Kacperek i tak nie ustąpi.

Kiedy skrzaty wsunęły się do nory nagle… ziemia zapadła im się pod nogami i z krzykiem zaczęły osuwać się w głąb. Wstyd powiedzieć, ale Kacperek też się przestraszył. A Ambroży wrzeszczał po prostu na cały głos lecąc w ciemność.

Spadli obaj nie robiąc sobie krzywdy.

Kiedy ich oczy zaczęły przywykać do ciemności zobaczyli przed sobą wnętrze pieczary, a w niej dziwną postać – brodatego, świetlistego mężczyznę. Właściwie powinni się przestraszyć, ale on uśmiechał się do nich tak łagodnie, że na lęki nie było miejsca.

– Czekałem na was – powiedział. – Przyszliście, żeby poznać moje tajemnice…

– Nie…. – zaprzeczył Ambroży, bo bał się, że mężczyzna rozgniewa się na nich, że zakłócają mu spokój i w dodatku chcą ujawnić jakieś jego tajemne sprawki.

– Tak! – powiedział Kacperek bez namysłu, bo nie wydawało mu się, że ten brodacz będzie na nich zły. Wyglądał raczej na rozbawionego tą wizytą i tym, że skrzaty były trochę spłoszone spotkaniem.

Ambroży zobaczył stojący z boku, przy ścianie pieczary, miecz, którego ostrze lśniło, jakby stworzone zostało z płomieni. Przestraszył się nie na żarty. Brodacz zobaczył jego lęk, wzruszył tylko ramionami.

– To mój miecz – powiedział. – Był mi potrzebny przez tysiące lat, bo musiałem walczyć z wieloma złymi istotami. Mam jeszcze włócznię, niezbędny oręż do wojen ze smokami. Ale już dawno przestały mi być potrzebne, i miecz, i włócznia. Umiem walczyć, wygrywać bitwy i wojny. Pokonałem smoki. Teraz wiem, że ludziom i skrzatom potrzebna jest przyjaźń i miłość. Odłożyłem miecz, wolę kwiaty, a szczególnie lilie. To piękny kwiat, przynosi ludziom ukojenie i nadzieję.

– Kim jesteś? – wyszeptały skrzaty z przejęciem.

– Mam na imię Michał i jestem strażnikiem małego miasteczka, które przeżyło wiele wojen – powiedział brodacz ubrany w zwiewną szatę. – Tu często było niespokojnie, bo tędy szły wojska na różne wojny – z zachodu na wschód, z północy na południe. A ja polubiłem to miejsce. Patrzyłem setki lat, jak ludzie zadają sobie cierpienie, gdy walczą ze sobą. Postanowiłem zostać, czuwać na murach otaczających ten gród, żeby jego mieszkańcom nigdy nie stało się nic złego. Nie chcę już walczyć.

Skrzaty słuchały z przejęciem, jak starzec opowiadał o swoim trudnym życiu, o istotach, które spotykał na swojej drodze i o tym, jak uwierzył, że miłość i przyjaźń są zdecydowanie silniejsze, niż wszystkie armie świata.

– Musicie już wracać – powiedział w końcu i pokazał malutkie światło gdzieś na końcu pieczary. Kacperek i Ambroży ociągali się, bo chcieli jeszcze słuchać starego strażnika Michała. – Musicie iść – powtórzył stanowczo, ale wcale nie przynaglał. – Jeszcze się spotkamy – zapewnił.

Skrzaty poszły przed siebie. Po pewnym czasie wyszły z głębi, spod korzeni drzewa, w tym samym miejscu, gdzie całkiem niedawno odnalazły lisią norę. Ale już jej nie było, jakby w tym krótkim czasie ziemia zabliźniła się i zamknęła.

Kacperek i Ambroży powędrowali przed siebie, w zachodzącym słońcu zobaczyli niewielkie domki małego miasteczka. Gdy skrzaty podeszły bliżej na murach ujrzały tarczę herbu, a na niej… brodacza, z którym rozstały się tak niedawno! W jednym ręku trzymał lilię. Przez moment zdawało im się, że Michał mrugnął do nich, jakby rozbawiony, ale… to musiało być złudzenie.

– Wrócimy tu jeszcze – przyrzekły sobie – pójdziemy znowu nad Koci Potok i znajdziemy Michała. Przecież nie wszystko nam jeszcze opowiedział…

Strumień zagubionych łez

Pewnego popołudnia Kacperek i Ambroży zawędrowali na skraj lasu, do miejsca, gdzie przepływał mały strumień. Była to bardzo przyjemna wędrówka, bo dzień był upalny i żar wszystkim dokuczał. Tutaj skrzaty znalazły cień i odrobinę chłodu. Rzeczka płynęła spokojnie, szmer wody był bardzo kojący. Na dnie w promieniach słońca widać było połyskujące drobne kamienie.

– Czemu ten strumień nazywany jest Kocim Potokiem? – zapytał Ambroży. – Przecież koty nie lubią wody…

– Nie wiem – powiedział Kacperek – może dlatego, że jego koryto jest tak pozakręcane jak koci ogonek? A może tu rosła kiedyś kocimiętka, którą koty uwielbiają? Może ktoś tu znalazł ukochanego kotka? To chyba będzie już na zawsze tajemnica. Ale to dobrze, bo każdy może sobie sam szukać odpowiedzi – dlaczego ten Potok jest Koci. Ja nazwałbym go inaczej… – powiedział tajemniczo Kacperek.

– A jak?

Ambroży oczywiście nie mógł ani chwili wytrzymać, bo kochał różne tajemnice i bardzo chciał je poznawać. Kacperek świetnie o tym wiedział, więc udawał, że powiedział to niechcący i wolałby, żeby takie słowa nie padły w ogóle. Im bardziej małomówny stawał się Kacperek, tym bardziej niecierpliwie naciskał na niego Ambroży.

– Powiedz, powiedz proszę – mówił. – Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem… Dlaczego mi to robisz?

Kacperek w końcu westchnął i powiedział:

– Według mnie ten potok powinien nosić nazwę Strumienia Zagubionych Łez… Jeśli się uważnie przyjrzysz, może znajdziesz chociaż jedną z nich. Wielu szukało tych łez, przez setki lat. Prawie wszystkie zostały odnalezione, ale ludzie mówią, że wciąż jeszcze są tu takie, których ludzie nie zdołali wyciągnąć.

– Żartujesz sobie ze mnie znowu – poskarżył się Ambroży. – A już myślałem, że tak nie będzie. Jak można znaleźć łzę w wodzie? Ona po prostu zniknie… rozpłynie się.

– Ale łzy z Kociego Potoku są inne – nagle skrzaty usłyszały cichutki głos piżmowca. Nie od razu zobaczyły maleńką główkę zwierzątka wychylającą się z niewidocznej prawie norki, tuż ponad powierzchnią płynącej wody. – Łzy z Kociego Potoku są cenne, jak złoto – mówił dalej piżmowiec – bo są dowodem prawdziwej miłości i prawdziwej tęsknoty. A takie łzy nie znikają… Nigdy.

Skrzaty tak się zasłuchały, że wpatrywały się uważnie w piżmowca, nawet nie poruszając rękami, bo nie chciały go spłoszyć. On rozglądał się uważnie, czy nic mu nie grozi, ale widać było, że chce się podzielić swoją opowieścią. Rozczesał pazurkami futerko i mówił dalej:

– Dawno, dawno temu żyła tu młoda dziewczyna, zakochana w chłopcu z sąsiedniej miejscowości – opowiadał piżmowiec. – Ale czasy były niespokojne, wybuchały coraz to różne wojny. Władcy toczyli je między sobą, czasami spierając się o drobne sprawy, ale potrzebowali do tych wojen żołnierzy. Wcielali do swoich wojsk mężczyzn i kazali im bić się z innymi. Do wojska trafił też ukochany młodej panny. Rozstawali się właśnie nad Kocim Potokiem. Przytulili się do siebie, obiecując, że nie zapomną o swojej miłości nawet w najtrudniejszych chwilach. Ona obiecywała, że będzie czekać aż on wróci, on obiecał, że wróci…

– Ale nie wrócił… – westchnął piżmowiec. – Dziewczyna czekała latami, stała się piękną kobietą, potem uroczą staruszką… Ale zawsze przychodziła nad Koci Potok, do miejsca, w którym z chłopcem przysięgali sobie miłość. Nigdy nie pokochała nikogo innego. Za każdym razem, kiedy wspominała tego jedynego – płakała. Patrzyła pochylona nad płynącą wodę i jej łzy spływały wprost do strumienia. A że były to łzy najprawdziwszej miłości, nie gubiły się w nurcie, a zamieniały w perły.

– Może jeszcze tam są? – wyszeptał Ambroży, zasłuchany w tę opowieść.

– Nie ma już ich – powiedział cicho piżmowiec. – Dziewczyna płakała latami, więc pereł było dużo, ale i szukających też niemało. Ludzie urzeczeni ich urodą i blaskiem szukali tych pereł, nie wiedząc, jakim sposobem powstały. Tym bardziej, że rozniosło się w okolicy, iż te perły przynoszą szczęście w miłości. Ponoć każdy, kto miał przy sobie choć jedną, mógł być pewien, że nie rozstanie się ze swoim szczęściem, więc każdy chciał je mieć. W końcu w Kocim Potoku zabrakło pereł…

– I nie ma już żadnej? – zapytał zmartwiony Kacperek.

– Nie wiem – odpowiedział piżmowiec. – Ja żadnej nie widziałem, ale może jeszcze gdzieś są, ukryte w nurcie Potoku, między drobnymi kamyczkami. Czekają na kogoś, kto kocha naprawdę mocno i znajdzie perłę, która sprawi, że ta miłość będzie trwała na zawsze.

Z cichym pluskiem piżmowiec skoczył do wody i zniknął. A Kacperek i Ambroży jeszcze długo patrzyli w migocący blaskami słońca strumień. Na jego dnie widzieli tylko małe kamyczki, ale wiele z nich błyszczało mocniej, jakby jednak nie były zwykłymi kamieniami…

Dmuchawce, wiatr i słodkie sny Ambrożego

– Co to jest – rośnie wszędzie, leczy wszystko, ale mało kto to szanuje? – zapytał Kacperek, licząc na to, że Ambroży, który lubił tajemnice i zagadki będzie starał się znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Ambroży jednak drzemał i niekoniecznie chciał oprzytomnieć. Zjadł solidny obiad i nie chciało mu się myśleć o niczym.

– A są takie kraje, że pszczoły najbardziej ją lubią i z pyłków tej rośliny robią najwięcej miodu – nie ustawał Kacperek. Tym razem zainteresował Ambrożego, bo wprawdzie żadne rośliny go specjalnie nie interesowały, ale miód – owszem.

– Nie wiem – wymruczał, wciąż jeszcze bardzo senny – ale jeśli z tego jest miód, to trzeba taką roślinę chronić, żeby nikt nawet listka z niej nie zerwał…

– Ale ludzie wyrywają ją z korzeniami! – krzyknął Kacperek, zadowolony, że łakomczuch i śpioch w końcu oprzytomniał.

Tego już było za dużo. Ambroży bardzo się oburzył.

– Jak to można z korzeniami!? Kiedy pszczoły, i ten miód… – był tak zirytowany, że nawet nie potrafił wyrazić swego ogromnego oburzenia.

– I podobno wielu tak robi – Kacperek nie ustawał w droczeniu się z Ambrożym. Nie trzeba zresztą już było bardziej go denerwować, bo wiadomość, że ktoś może wyrywać z korzeniami roślinę, która karmi pszczoły dające miód, była dla niego nie do akceptacji.

Obok chatki skrzatów przechodziła Pani Natura i usłyszawszy hałasy zajrzała przez uchylone drzwi. – O co się tak spieracie chłopaki? – zapytała wesoło.

– Wandale chodzą po łące i wyrywają roślinki, z kwiatów których żyją pszczoły, które robią miód i ja tego nie wytrzymam – Ambroży aż się zakrztusił z oburzenia.

– Ach… – westchnęła pogodnie Pani Natura – chodzi tobie o ludzi, którzy zbierają na łące dmuchawce?

– Dmu… chawce…???!!! – zdziwił się Ambroży.

– Tak – potwierdziła Pani Natura. – Dmuchawce, a właściwie mniszek lekarski to fantastyczna roślina. Rzeczywiście są takie kraje, gdzie głównie mniszek jest rośliną miododajną, ale nie przypadkiem nazywa się mniszkiem lekarskim, bo on jest jedną wielką apteką! Jego liście zawierają mnóstwo witaminy C i wielu ludzi używa ich do sałatek. Napar z korzenia jest świetną herbatą w wielu krajach. Korzenie zbiera się późną jesienią, kiedy już roślina przekwitnie, więc pszczoły wtedy już nektaru czy pyłku z niego nie zbiorą…

To uspokoiło trochę Ambrożego i słuchał dalej z ciekawością.

– Mniszek nie tylko służy medycynie – powiedziała tajemniczo Pani Natura – ale też… badaniom naukowym w lotnictwie!

Skrzaty aż oniemiały. O ile rozumiały, że pyłki, że nektar, że korzeń i napary to są sprawy, których po dmuchawcu można się spodziewać, to z lotnictwem ten chwast nie może przecież mieć nic wspólnego.

– A właśnie ma – stwierdziła stanowczo Pani Natura. – Mniszek jest chwastem na trawnikach, potrafi jednak swoje nasionka wysyłać z wiatrem na duże odległości. Kiedy dzieci zerwą łodyżkę z koroną z leciutkich pręcików, zakończonych puchem – nasionko odlatuje. Większość opada blisko, ale stwierdzono, że niektóre fruną nawet 30 kilometrów. Rekordowe odległości przy silnym wietrze to aż sto kilometrów! I uczeni zaczęli badać – skąd się to bierze? Jak to się dzieje? I wtedy okazało się, że delikatne „piórka" dmuchawca tworzą pod wpływem strumienia powietrza taki malutki „bąbelek", który unosi nasionko daleko w świat…

Ambrożego sen też unosił daleko w świat… Wprawdzie zasypiając miał przed oczyma całe łąki dmuchawców, a nad nimi całe stada pszczół, które do uli znosiły pełne słoiki miodu… I dlatego spał snem słodkim… bardzo słodkim.

INFORMACJA DLA RODZICÓW

Badania tajemnicy tworzenia „bąbla wiru powietrznego" jakich dokonali szkoccy naukowcy z Edynburga, zaintrygowani dlaczego zdrewniała owocnia mniszka lekarskiego ma takie właściwości aerodynamiczne nie tylko odkrywają tajemnice przyrody. Fakt, że tenże „bąbel" tworzy podciśnienie, które z kolei unosi całe nasionko może się bowiem przysłużyć do unowocześnienia… dronów, jeśli uda się zastosować tę metodę w urządzeniach mechanicznych.

Polska jest liczącym się eksporterem korzenia mniszka – kupują go od nas firmy zielarskie nie tylko Europy, ale i Chin.

Wyciąg z mniszka wspiera zdrowie (liście zawierają do 100 mg witaminy C na 100g liści, pomaga w schorzeniach dróg żółciowych i niestrawności), ale z drugiej strony wyciągi z tej rośliny używane są w rolnictwie organicznym do tępienia mszyc.

O dzwonie, który już nie milczy

Kacperek i Ambroży któregoś późnego popołudnia postanowili przejść się na krótki spacer uliczkami Zawidowa. Niedaleko, tuż za domy przy rynku, bo Ambroży nie znosił spacerów, Kacperek jednak bardzo nalegał, więc ten zgodził się wyjątkowo.

Podeszli na niedużą łąkę, na środku której stoi tylko nakryta hełmem wieża. Przysiedli. A że wszystko sprzyjało rozleniwieniu i drzemce, oba skrzaty ledwo zmrużyły oczy i zapadły w delikatny sen. I trochę we śnie, a odrobinę na jawie zobaczyły wysoką postać wyłaniającą się zza samotnej wieży nieistniejącego już kościoła. Mężczyzna w starym odzieniu przysiadł obok. Miał pooraną zmarszczkami twarz, podkrążone cieniami oczy, zgrabiałe, pobrużdżone dłonie.

– Strzegę tego miasta – powiedział – nie bójcie się więc, bo i waszego spokoju chcę strzec. Od wieków pełnię straż na murach, ale byłem tu też Dzwonnikiem w kościele, z którego została już tylko ta wieża…

– Dawno, dawno temu – zaczął opowiadać Dzwonnik – kiedy budowano ten kościół, postanowiono, by zawisł w niej dzwon, którego dźwięki będą się odbijały echem od gór. Miał to być dzwon, który każdego ranka zwiastuje dobry dzień, a przed nocą zaprasza do snu pełnego najpiękniejszych marzeń.

I tak było przez całe lata. Ludwisarze, którzy trudnili się odlewaniem dzwonów z gorącego metalu, przy dzwonie do tego kościoła postarali się szczególnie. Dodali do kadzi płatki róż, żeby powietrze niemal pachniało muzyką tego akurat dzwonu. Mieszali płynny metal długo, by nabrał powietrza, bo wtedy dźwięki dzwonów unoszą się swobodnie nad doliną i docierają do każdego jej zakątka. Aż nadszedł wielki dzień –

serce dzwonu uderzyło po raz pierwszy o skraj kielicha. Dźwięki popłynęły nad polami, lasami, dotarły do wzgórz i wróciły cichym echem.

Dzwon przeżył wiele szczęśliwych lat. Zapraszał do kościoła ludzi radosnych, cieszących się sobą i bliskimi. Tych, którzy odchodzili z tego świata żegnał z nadzieją spełnienia. Ale… nic nie trwa wiecznie, szczególnie, gdy ludzie sami na siebie sprowadzają nieszczęście.

Niektórzy nie doceniają swojego szczęścia, możliwości życia w spokoju, w zgodzie z sobą i innymi. Czasami szukają okazji do kłótni tylko po to, żeby innym zepsuć dzień. A są i tacy, którzy życzą innym wszelkiego zła, a wtedy zło do nich samych powraca. Kiedy wybuchła wojna, ludzie porzucili myśli o muzyce dzwonów, bo zapragnęli słuchać huku armat. Ściągnęli dzwon z wieży świątyni by przetopić go na lufy dział… Dzwon wrócił do kolejnych ludwisarzy, którzy musieli wykonać rozkaz i zniszczyć dzieło swoich przodków. I nie przyniosło to nikomu szczęścia. Wielu z tych, którym się wydawało, że muzyka armat jest lepsza, niż dzwonów – nie wróciło z wojny. Nie wrócił też dzwon. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Kiedy nastał czas pokoju – wróciły marzenia o dzwonach. Wszyscy pamiętali, że z metalu serca i kielicha dzwonu można wydobyć wspaniałą muzykę, która rozbrzmiewała szeroko. Ale zły człowiek z tego samego metalu może zbudować działa, które niosą zniszczenie i śmierć.

Przez długie lata wieża, już bez kościoła, stała na skrawku łąki całkiem niema. Kiedy dzwon zniknął – w mieście zrobiło się szaro, smutno i cicho. Są wprawdzie inne dzwony i słychać wiele innych dźwięków, ale zawsze brakowało właśnie tego dzwonu, który zniknął.

Okazało się jednak, że nie do końca... Jeden z dawnych mieszkańców starego Zawidowa uchronił muzykę tego dzwonu. Zapisał ją w swojej pamięci. Kiedy wyjeżdżał z miasta na tułaczkę, nagrał ją, by się nie zatraciła.

Kiedy powrócił u schyłku życia do miasta, w którym spędził najpiękniejsze lata dzieciństwa, to przywiózł ze sobą te dźwięki. Powiedział, że nie ma już dzwonu, ale została jego muzyka, więc chce ją oddać wieży, z której tak długo rozbrzmiewała…

I stało się, że znowu nad miastem płyną dźwięki tamtego dzwonu. Już serce z brązu nie uderza o krawędź kielicha. Jednak skoro te dźwięki zostały zapisane w ludzkich sercach – udało się je uchronić dla tych, którzy nigdy nie słyszeli tamtego dzwonu. Wielu też przeszło swoją tułaczkę i też utraciło miasteczka i wsie swojego dzieciństwa.

Zawidowianie zostali obdarowani dźwiękami, które dla nich są tak samo drogie, jak dla tych, którzy przed dziesiątkami lat musieli stąd wyjechać, unosząc w pamięci muzykę dzwonu z wysokiej wieży, widocznej nad dachami mojego miasteczka...

Stary Dzwonnik odszedł w półmrok zapadającego właśnie wieczoru. Kacperek i Ambroży nawet nie zauważyli, kiedy zniknął, jakby unosząc się w powietrzu. A może naprawdę się unosił?...

INFORMACJA DLA RODZICÓW

To prawdziwa historia o dźwięku dzwonu nieistniejącego kościoła ewangelickiego w Zawidowie. Okazało się, że jeden z byłych mieszkańców – Niemiec – miał nagrane bicie dzwonu z lat 40. XX w. Przekazał nagranie miastu Zawidów w trakcie swoich kolejnych odwiedzin.

Opowieść Panienki z Mgieł

– Powiedz mi Ambroży – zagadnął przyjaciela Kacperek – jakiego koloru jest woda?

Ambroży wyrwany z drzemki był trochę nieprzytomny, więc nie od razu zorientował się, że w pytaniu Kacperka jest jakiś podstęp. Burknął coś pod nosem, że każdy wie, że niebieska. Jednak, gdy to powiedział, to zezłościł się na Kacperka i trochę na siebie, że dał się tak podejść.

– Żadnego koloru nie ma! – krzyknął już CAŁKIEM rozbudzony i zły. – Przezroczysta jest! Czemu sobie znowu ze mnie żartujesz?!

– Jesteś pewny? – nie ustawał Kacperek. – Jak patrzyłem na Koci Potok, to widziałem, że kiedy jest spieniona, to ma kolor biały. Jak płynie przez łąki, to niebieski, a jak w lesie, to zielony…

– Nie ma koloru! – krzyczał Ambroży. – Żadnego! Nalej jej do szklanki, to zobaczysz! Ani koloru, ani zapachu! Woda nic nie ma. Woda, to woda!

– Nie ma zapachu? – bezlitośnie droczył się Kacperek. – A jak spadnie deszcz po wielu suchych dniach, to wtedy nawet w powietrzu unoszą się zapachy…

– Nie kłóćcie się, chłopaki – usłyszeli nagle głos dawno niewidzianej znajomej – Panienki z Mgieł. – Nie drażnij Ambrożego – zwróciła się do Kacperka. I on ma rację, i ty masz rację… Z tą wodą naprawdę jest dziwnie, jestem przecież tego najlepszym przykładem. Jestem z mgły, a to przecież woda. Wodą są chmury, i lód zimą, grad i deszcz, szreń i szron, sople i kra na rzece…

Skrzaty zasłuchały się, bo Panienka z Mgieł zawsze imponowała im opowieściami. Potrafiła w zwyczajnych sprawach zwrócić uwagę na coś bardzo oczywistego, co niby wszyscy widzieli, ale nie zwracali na to uwagi.

– Z kolorami wody jest tak – wyjaśniała – że zależą one od kilku spraw. Woda nie ma przecież własnego koloru, ale morze i rzeka już mają. I to rozmaite. Kiedy jest pogoda i świeci słońce, to morze jest niebieskie, kiedy chmury suną nisko – szare, czasami bywa granatowe, albo zielone. Czasami jest nawet srebrne. To wszystko zależy od tego, pod jakim kątem patrzymy na powierzchnię wody i jaki kolor się w wodzie odbija najmocniej. Dlatego Koci Potok, kiedy płynie przez las, jest zielony, bo niesie w sobie kolor drzew, a jak płynie łąką – to kolor nieba. Gdyby był szerszy, to wtedy byście zobaczyli, że woda przy brzegu, na którym stoicie, ma inny kolor, a przy drugim – inny. I nawet trudno byłoby powiedzieć, w którym miejscu się zmienia, bo woda jest żywa, sunie nad dnem, które może być z jasnego piasku, albo muliste, a rzeka głęboka lub płytka. I to wszystko nadaje wodzie kolor, chociaż… kiedy wzięlibyście trochę wody na dłoń – to tego koloru już nie będzie…

– A zapach? – zapytał Kacperek, już spokojnie. – Przecież mówi się czasami, że „pachnie deszczem"?

– Deszczem! – roześmiała się Panienka z Mgieł tak perliście, jak woda w Kocim Potoku, przemykająca między kamieniami. – Pachnie deszczem, ale nie wodą! Krople deszczu uwalniają zapachy traw i kwiatów. Póki jest sucho, nic nie pachnie. A po deszczu zapach roślin i ziemi staje się wyczuwalny nawet przez człowieka, bo woda ożywia. Zresztą nie zawsze potrzebny jest deszcz. Wystarczy, że idzie się przez suche pole w czasie żniw i pachnie ściętymi kłosami, ale kiedy zbliżamy się do strumienia – czujemy inny zapach. Woda sama nie pachnie, ale jej obecność w cudowny sposób uwalnia inne zapachy. Woda daje życie.

– Naprawdę? – zapytały skrzaty.

– Oczywiście – przytaknęła Panienka z Mgieł. – Popatrzcie na drzewa. Ich korzenie wysysają z ziemi całe tony wody, drzewo w niewidoczny dla człowieka sposób wypija wodę całymi wiadrami. Od korzeni płynie ona w górę wewnątrz pnia, do konarów, stamtąd do coraz cieńszych gałęzi, aż do drobniutkich listków. Bez wody nigdy by się wiosną nie rozwinęły. Topole i wierzby lubią dużo pić, więc rosną przy rzekach i jeziorach, buki radzą sobie inaczej, ale też potrzebują wody. Bez wody nie pojawiłyby się bukowe orzeszki, które jesienią opadają na ziemię suche, ale żeby w ogóle mogły zaistnieć, to potrzebują wody…

Słońce zaczęło prażyć coraz mocniej, więc rozproszyły się mgły i zniknęła Panienka z Mgieł. A Ambroży wciąż wydawał się być zasłuchany. Tym bardziej, że bardzo lubił bukowe orzeszki. Nigdy jednak nie myślał, że one – takie przecież suche – muszą mieć dużo wody, żeby mogły urosnąć.

Złote jabłka Zamkowej Góry

– Chodźmy na Górę Zamkową – nalegał Kacperek. – Ruszmy się z tej naszej dziupli, przecież nie można się cały dzień wylegiwać…!

– A niby dlaczego nie można? – zdziwił się szczerze Ambroży. – Ja mogę. A ty, jeśli nie możesz usiedzieć, to sobie możesz nawet na tę Górę wbiegać. I to nie jeden raz – dorzucił złośliwie.

– Nie chcesz, to nie – udał pokonanego Kacperek – ale właśnie teraz dojrzewają tam i jabłka, i gruszki… Myślę, że i śliwy też już mają owoce…

Ambrożemu było głupio tak od razu zmieniać zdanie i przyznawać się do łakomstwa, więc przez chwilę nic nie mówił. Kacperek także milczał. Udawał, że stracił zainteresowanie wycieczką. Wiedział, że łakomstwo Ambrożego i słowa o owocach nie pozwolą mu na dalsze leniuchowanie.

– Bardzo chcesz tam iść? – zapytał Ambroży, przerywając ciszę. – Jeśli tak, to może rzeczywiście pójdziemy razem, bo jakbyś sobie – na przykład skręcił nogę – to nie miałby kto tobie pomóc…

Kacperek nie był tak złośliwy, żeby wypominać, że nigdy sobie nogi nie skręcił, a na Górę Zamkową droga jest prościutka i gładka, jak stół. Cieszył się, że jego przyjaciel zdecydował się na tę eskapadę, nawet jeśli jedyną przyczyną zmiany decyzji były smaczne jabłka i gruszki.

– A jesteś pewny, że tam będą te jabłka? – spytał jakby od niechcenia Ambroży. – Nie chodzi o to, że mam na nie ochotę. Tak pytam, z ciekawości.

– Z pewnością będą – uśmiechnął się pod nosem Kacperek. – I w dodatku są to jabłka, jakich nie ma nigdzie indziej. To są królewskie, złote jabłka…

– Królewskie?! Złote?! I smaczne?! Skąd to wiesz? – Ambroży już nie krył swojego zainteresowania.

– I ty się dowiesz, kiedy tam dojdziemy – odpowiedział tajemniczo Kacperek i nie powiedział już ani słowa, mimo, że Ambroży wciąż dopytywał. – Dowiesz się dopiero na miejscu – skończył stanowczo.

W takiej sytuacji w Ambrożego wstąpił demon szybkości. Gnał na Zamkową Górę, jak maratończyk. Kacperek, który nigdy się nie ociągał, tym razem ledwo nadążał z rozpędzonym Ambrożym, który nade wszystko lubił jedzenie i tajemnice.

Gdy skrzaty doszły już na miejsce, weszły w cień jabłoni i grusz, przestały się spieszyć. Zapach dojrzałych owoców, zwieszających się z wielu gałęzi, był oszałamiający. Pszczoły i osy też się kręciły, przysiadając na owocach, które tak napęczniały od soków, że pękały wręcz, kusząc owady.

– A teraz powiesz o tej tajemnicy? – zapytał Ambroży.

– Teraz to ja o niej powiem – usłyszał głos dochodzący spomiędzy gałęzi. Ledwo widoczny między liśćmi siedział na konarze, sięgając po gruszki, Stary Ogrodnik. – Przyszliście do sadu – ciągnął – który powstał w miejscu niezwykłym. I okoliczności jego powstania też są niezwykłe. Dawno, dawno temu był tu dwór, którego właścicielem był bardzo zamożny człowiek. Był on jednak bardzo skąpy i wszystkie pieniądze, jakie zdobył, zamieniał na złote monety. Zdarzało się też, że kupował u jubilerów złotą i srebrną biżuterie. Nie lubił dzielić się z ludźmi, nawet jeśli byli bardzo ubodzy. Ale też był uczciwy – nie zwlekał z wypłatą dla tych, którzy dla niego pracowali. Płacił w terminie i co do grosza. Właśnie – „co do grosza". Tyle, ile się należało i ani grosza więcej, choć niejeden liczył na to, że za szczególnie ciężką pracę dostanie choćby odrobinę.

Z czasem wszyscy przywykli do właściciela majątku i pogodzili się z jego charakterem, bo jednak nie był złym panem. Lata mijały, właściciel mocno się postarzał. Już nie wychodził z domu, by doglądać majątku i cieszyć się kolejnymi złotymi talarami i dukatami. Tracił siły i przeczuwał zbliżający się koniec. Nie miał rodziny – całe życie spędził sam, ciesząc się swoim stale rosnącym majątkiem.

Któregoś dnia poprosił zaufanego jubilera i nakazał mu wziąć wszystkie złote przedmioty i przetopić je na jabłka i gruszki.

– Weź wszystko – nakazał.– Mnie już wkrótce nie będzie i po co mi moje złoto? A ty, kiedy już złote jabłka będą gotowe, zakopiesz je na tym ugorze na górze. Chcę, by każdy z tych złotych owoców dał początek drzewu. Niech urosną tam, żeby ludzie mogli nacieszyć się owocami, które będą złote nie tylko od słońca – uśmiechnął się trochę przekornie. Ale i smutno. – Nie umiałem się dzielić swoją radością i swoim majątkiem za życia, więc chciałbym to zrobić, kiedy już odejdę. I zniknie po mnie najmniejszy ślad…

Jubiler chciał zaprzeczyć, że ślad po dobrym uczynku zawsze zostaje, ale właściciel dworu słabnącą ręką dał mu znak, by nic nie mówił.

– Zrób tak – powiedział – wiem, co mówię. I usnął. Nigdy się już nie obudził.

Niedługo potem, w trakcie jesiennej burzy, piorun uderzył w szczyt dworu. Wszystko spłonęło. I rzeczywiście – po starym wielmoży nie pozostał żaden ślad. Ale jubiler spełnił jego ostatnią wolę i na ugorze wyrósł sad. Jabłonie i grusze dawały przez dziesiątki lat tak wiele owoców, jak w żadnym innym sadzie w okolicy. Były smaczne i miały złotą skórkę. Ludzie uznawali, że to dlatego, że słońce wygrzewało drzewa, rosnące na zboczu. Stary jubiler tylko się uśmiechał, ale nikomu nie zdradził tajemnicy. A kiedy i on odszedł, zabrał ją ze sobą…

Ambroży tak się zasłuchał, że prawie zapomniał, po co przyszedł. Ale kiedy Stary Ogrodnik podał mu soczystą gruszkę – aż westchnął. – To był bardzo, bardzo dobry człowiek – powiedział, kiedy już zjadł trzy wielkie, złote owoce. – Ale nawet on chyba nie wiedział, jak bardzo smaczne będą te jego gruszki… Chyba będę tu wracał… oczywiście, żeby powspominać – dodał szybko, widząc karcącą minę Kacperka.

Jakub Boehme – niezwykły szewc

Czy można być wielkim człowiekiem w małym miasteczku? – zastanawiał się na głos Kacperek. Tym razem – o dziwo – postanowił troszkę poleniuchować, co bardzo ucieszyło Ambrożego. Ten drugi kochał „nicnierobienie" i zupełnie nie rozumiał, dlaczego Kacperek uwielbia, jak wszystko wokół się szybko kręci.

– Jak już nic nie robisz, to mógłbyś też nic nie mówić – poprosił Ambroży. – Widzisz, że odpoczywam.

– Chyba nie mógłbym – przyznał przepraszająco Kacperek. – Leżę i myślę o tych ludziach, którzy tu żyli dawniej, bo przecież niektórzy stali się sławni w całym świecie… Chciałbym wiedzieć, w którą stronę biegły ich myśli?...

– W słoneczną – rozległ się głos, a w wejściu do chatki stanęła świetlista postać, w jakiej skrzaty rozpoznały Michała Archanioła, tego samego, z którym spotkały się już kiedyś.

– Najpiękniejsze myśli są zawsze jasne – mówił Michał. – A powstają w ciszy. Przychodzą do nas najchętniej, kiedy zostajemy sami ze sobą.

– Przychodzą... do każdego ? – Ambroży chciał się upewnić, bo jakoś do niego za często nie przychodziły. A może przychodziły, ale o nich nie pamiętał?...

– Tak, do każdego – potwierdził Michał – tylko nie wszyscy potrafią je zauważyć, przytulić, pozostać z nimi dłużej. Ale żył taki człowiek w Zawidowie, który potrafił to lepiej, niż wielu innych. Miał na imię Jakub…

– Pewnie był kujonem – Ambroży starał się zlekceważyć nieznanego Jakuba, bo bardzo go zabolała uwaga, że nie zauważa nawet własnych myśli – i dlatego nie mógł się od tych myśli uwolnić.

– Otóż nie! – zaprzeczył stanowczo Archanioł Michał. – Był biednym dzieckiem biednych rodziców. Do szkoły chodził tylko zimą, gdy nie było roboty w polu. Zresztą skończył tylko dwie czy cztery klasy, a potem oddano go na naukę do szewca, bo rodzice nie mieli złamanego grosza na jego utrzymanie. Ale Jakub był nadzwyczajnie mądrym człowiekiem.

– Robił takie buty, że cały świat chciał je nosić? – Ambroży nie ustawał w próbach wyśmiewania.

– Opowiadał tak mądrze, pięknie i przekonująco, że wielu ludzi ze świata chciało go słuchać i się od niego uczyć – Archanioł Michał jakby nie zauważał kpiącego tonu Ambrożego. – To był wielki człowiek, Jakub Boehme. Najwięksi mędrcy, najbogatsi szlachcice chcieli go gościć na swoich zamkach i w swoich pałacach, żeby tylko mogli z nim rozmawiać. Uczone książki Jakuba wielu przepisywało ręcznie, bo przecież nie było jeszcze drukarń. W wielu krajach świata Jakub znany był jako uczony, chociaż był przecież tylko szewcem. Jakub tłumaczył, że na świecie musi być zło, skoro występuje też dobro. Mówił i pisał o ludzkiej duszy. O tym, że człowiek chce być dobrym, ale nie zawsze potrafi, a przynajmniej – nie od razu. Nim stanie się dobrym – o co musi się bardzo starać – bywa złym. O to się starać nie trzeba.

To zaczęło być interesujące dla Ambrożego, bo jemu też się nie udawało być dobrym, a przynajmniej – nie od razu. Uznał, że Jakub Boehme musiał być naprawdę mądrym człowiekiem, jeśli dostrzegał w różnych postaciach, jak bardzo muszą się starać w życiu i jak bardzo czasami im się to nie udaje.

– Jakub napisał – mówił Archanioł Michał – że całe nasze życie to walka ze złem, z diabłem po prostu. Ale jeśli zwyciężymy, wtedy otwiera się przed nami jasność, całe szczęście świata.

Kacperek siedział zasłuchany, a Ambroży się zmartwił. Wprawdzie walczył ze złem, to znaczy – swoim lenistwem, czy łakomstwem, ale do zwycięstwa było jeszcze bardzo daleko. Tak daleko, że nie widział żadnej szansy na sukces.

– Bądź dzielny – Archanioł Michał spojrzał na Ambrożego i położył rękę na ramieniu skrzata. – Jeśli będziesz się starał, to wszyscy ciebie docenią. Chodzi tylko o to, by pracować nad sobą i żeby nie tracić wiary w siebie…

Archanioł Michał bezszelestnie wyszedł z chatki skrzatów. Kacperek leżał w swoim łóżeczku zadumany, a Ambroży postanowił odszukać jakieś wiadomości o Jakubie Boehme, żeby znaleźć jego sposób na zwycięstwo nad złem. Pomyślał jednak, że zacznie dopiero jutro. Dziś czuje się zmęczony, a zresztą tak wiele się już dowiedział, że na jeden dzień wystarczy.

A w niedalekim Starym Zawidowie, w miejscu gdzie stał dom, w którym swoje dziecięce lata spędził Jakub Boehme, pojawił się cień, jakby rzucany przez szewca pochylonego nad zszywanym butem. Pracującego i pogrążonego w myślach o tym, co dobre i złe wokół nas. Dotarły tu echa rozmowy z chatki skrzatów, więc cień wsłuchiwał się w szmer głosów dobiegających stamtąd. A kiedy one ustały i zza chmury wyszedł księżyc – w jego blasku zniknął cień sylwetki starego szewca, jakby nigdy go tutaj nie było. Ambroży śnił, że walczy ze złem. Jednak to był tylko sen, po którym rano pozostanie ledwo nikłe wspomnienie.

Opowieść o psotnym aniołku

Michał Archanioł jest herbowym patronem Zawidowa, słyszało o nim wielu. Tym bardziej, że prowadzi hufce anielskie do walki ze Złem. Powierzane mu są zadania najtrudniejsze, wymagające siły, odwagi i niezwykłej rzetelności. Zawsze walczy przeciw siłom zła i zwycięża w każdym boju. Jest patronem żołnierzy i policjantów, ale też małych dzieci – aniołem stróżem dla wszystkich potrzebujących.

Nic więc dziwnego, że kiedy bardzo dawno temu mieszczanie Zawidowa poprosili go, by stał się także ich obrońcą – nie odmówił. Jego postać namalowano na herbowej tarczy miasteczka i po wsze czasy stoi na straży spokoju mieszkańców.

A że zajmuje się sprawami wielkimi, to do pomocy posłano mu maleńkiego aniołka, który w sprawach codziennych miał służyć mieszkańcom i ich gościom, będąc posłańcem Michała. Faktem jest, że maleńki cherubin z kędzierzawą czupryną okazał się być psotnikiem nie lada. Trzpiot i figlarz nie mógł usiedzieć na miejscu. A to dmuchnął tak mocno, że koszule i prześcieradła pofrunęły ze sznurów na krzaki. A to podlatywał do dzieci, plątał dziewczynkom włosy, a chłopcom wybijał piłkę spod nóg, że musieli jej szukać długo. Rozwiewał firany w oknach domów, przekomarzał się z ptakami, które ni z tego ni owego wszczynały wielki jazgot.

Michał upominał swego pomocnika, ale wybaczał mu te figle, bo nikomu one krzywdy wielkiej nie robiły. Tyle, że często powtarzane – zaczęły być uciążliwe. Któregoś popołudnia mocno zirytowany powiedział:

– Jako że nie możesz spokojnie usiedzieć na miejscu i nigdy cię nie ma pod ręką, kiedy jesteś potrzebny, to będziesz teraz stał cały czas na środku rynku do dnia, kiedy znowu cię uwolnię…

I stanął cherubinek na niewysokiej kolumnie, uśmiechnięty jak zawsze, ale troszkę smutny. Znał swoją winę i wiedział, że karę ponieść musi. Przypatrywał się dzieciom, które biegały wokół, dorosłym spieszącym do swoich zajęć… Dniem i nocą ze swojego miejsca oglądał Zawidów, w którym jeszcze niedawno swobodnie biegał wąskimi uliczkami między niewysokimi domami. Archanioł Michał nie trzymał długo urazy w sercu. Którejś nocy przyszedł do swojego malutkiego pomocnika i powiedział:

– Jesteś kochaną istotą, chociaż nabałaganiłeś wiele. Uwalniam ciebie od tej warty, którą pełniłeś na rynku. Posyłam ciebie do anielskich szkół, żebyś tam zrozumiał, czym jest anielska służba. A kiedy już zdasz wszystkie egzaminy – wróć tutaj. Do miasta, które ukochałeś i do ludzi, którzy na ciebie będą czekać. Będą cierpliwi, ale wierzą, że wrócisz przynieść ludziom radość. Wrócisz?...

– Wrócę… – wyszeptał cherubin. – Wiem przecież, że tu jest moje miejsce na ziemi.

INFORMACJA DLA RODZICÓW

Na rynku w Zawidowie stał pomnik z malutkim aniołem. Po 1945 r. w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął. W lipcu 2021 roku na rynku w Zawidowie znowu pojawił się anioł...

Bez skrzydeł dosięgnąć gwiazd

O czym może marzyć mały chłopiec – sierota? O wszystkim, co nieosiągalne. Skoro utracił rodziców, to już niewiele miał do stracenia. Mógł tylko w swojej wyobraźni być wielkim odkrywcą, sławnym wynalazcą, podziwianym przez tłumy.

Taki był mały Klaus, który nie miał niczego, a chciał mieć wszystko.

– To smutna opowieść – powiedział Ambroży, który szybko się wzruszał i nie wstydził się czasami uronić łzę nad czyimś losem.

– Ale prawdziwa – powiedział Kacperek – bo mały Klaus mieszkał po śmierci rodziców w małym Bernstadt, z babcią. Zanim dorósł, spotykały go same nieszczęścia, bieda i łzy, wojna i jeszcze większa bieda. Miał przed sobą dwie drogi – poddać się złemu losowi i jakość prześliznąć się przez życie, albo walczyć o spełnienie marzeń i sięgnąć gwiazd.

– Dlaczego akurat gwiazd? – zapytał Ambroży. – Przecież one są poza zasięgiem.

– Właśnie dlatego – powiedział Kacperek. – Wszystkie marzenia mogą się spełnić, jeśli mamy odwagę do nich dążyć.

– To chyba nieprawda – powiedział nieśmiało Ambroży. – Przecież nie wszystko od nas zależy. A ten chłopiec był jak dziecko w głębokiej studni… wkoło tylko ciemno i ciemno.

– Tylko w ciemności możesz zobaczyć gwiazdy – usłyszały skrzaty i dopiero zauważyły, że rozmawiały tak długo, aż w lesie zapadł głęboki mrok. A ten Głos z ciemności nie był przerażający, a przeciwnie – dodawał otuchy.

– I on zobaczył? – zapytały skrzaty. – Ten mały Klaus z Bernstadt sięgnął do gwiazd?

– Właściwie… tak – powiedział z pewnym wahaniem Głos. – Chociaż nie dosłownie, ale tak – powtórzył jeszcze bardziej tajemniczo. I dodał: – Mały Klaus dorósł, poszedł na studia, został inżynierem i wynalazcą rakiet. Dzisiaj ludzie latają na Księżyc, ale wtedy prawie nikt o tym nawet nie myślał. Tylko niektórzy – jak Klaus – ufali, że przyszłość należy do tych, którzy wierzą w swoje marzenia.

Tyle że znowu zbliżała się wojna, a to nigdy nie jest dobry czas dla marzycieli. Klaus chciał, żeby jego wynalazki służyły ludziom, którzy w swoich marzeniach chcieli oderwać się od ziemi. Nie umiał jednak przekonać do tego złych ludzi. Oni chcieli, by rakiety Klausa służyły wojnie.

– I co? – zapytały skrzaty Głosu. – Co się stało z Klausem?

Zapadła chwila ciszy, a potem skrzaty usłyszały oddalający się w ciemności Głos.

– Zginął w wypadku i nigdy nie wyjaśniono, jak to się stało. Zanim wyjechał samochodem w ostatnią ziemską podróż ktoś mu powiedział: Idź za swoimi marzeniami tak szybko, jakby od tego zależało twoje życie. Bo ono naprawdę od tego zależy…

– I nie dosięgnął gwiazd… – zasmuciły się skrzaty.

– I tak, i nie… powiedział cichnący daleko Głos. – Na Księżycu, do którego Klaus nie doleciał, jest krater nazwany imieniem Klausa, więc można powiedział, że jego marzenie zostało spełnione, chociaż on się o tym już nie zdołał dowiedzieć.

INFORMACJA DLA RODZICÓW

Klaus Riedel, wychowywany przez babcię w Bernstadt, żyjący w latach 1907-1944, to niemiecki inżynier, którego prace dla firmy Siemens przyniosły istotne postępy w programie budowy rakiet. Jego odkrycia przyczynił się także do rozwoju lotów kosmicznych. W Bernstadt znajduje się pomnik i małe muzeum poświęcone naukowcowi. W 1970 r. imieniem jego nazwano krater na Księżycu.

Diabeł osi nie wynosi

Dawno temu w Bernstadt mieszkali żacy, którzy uczyli się tutaj, by zostać bakałarzami, jak dawniej nazywano nauczycieli. Po skończeniu szkoły uczyli w okolicznych miejscowościach, a nawet w Dreźnie. Szkoła w Bernstadt była szeroko znana, szanowana i ceniona. Tak bardzo, że niełatwo było dostąpić zaszczytu zostania jej studentem. Ci, którym się to udało, byli z siebie bardzo dumni. Każdy bowiem, który tutaj pobierał nauki, uczył dzieci najbogatszych ludzi albo pracował w najlepszych szkołach.

Wielu kandydatów ściągało do Bernstad, starając się zdać wstępne egzaminy. Niektórzy próbowali tego po kilkakroć mówiąc, że będą studiować „albo tutaj, albo nigdzie!". Dlatego też powiadali ludzie, że to właśnie wokół Bernstadt wszystko się kręci, tak, jakby tu był środek świata i oś ziemi.

Żacy chętnie tę opinię rozpowszechniali, bo im głośniej było o tej szkole, tym bardziej rosła ona w siłę. Prawie 150 lat temu, w 1873 r. zyskała nazwę „Królewskiego Seminarium".

Któregoś razu jeden z żaków wpadł na pomysł, żeby urządzić paradę w miasteczku. A na jej zakończenie zorganizować taniec w rynku. Barwny korowód pląsał wokół cen-

tralnego placu, a wirujący tancerze tworzyli kolorowy krąg. I znowu wydawało się, jakby tutaj właśnie było centrum wszystkiego, co kolorowe i radosne. Ktoś postawił świecznik w centrum tanecznego koła i w naturalny sposób wyznaczył jego oś… I wydawało się obecnym, że to jest oś ziemi, oś, wokół której wiruje cały świat. Ten moment stał się tak ważnym, że nie było nic ważniejszego ponad ich radość i młodzieńczy entuzjazm, który porwał także dorosłych i statecznych mieszkańców Bernstadt. Tańczyli wszyscy – starzy i młodzi, wydawało się, że tańczą domy i latarnie, tańczy całe miasto…

To zdarzenie stało się początkiem legendy, zapisanej w pomniku stojącym w rynku do dziś, chociaż nie ma już królewskiego seminarium, a mało kto wyraża swoją radość tańcem na ulicy. Czasami tylko z nagła roztańczą się kolorowe cienie i znikną, jakby trochę zawstydzone swoją radością i odwagą.

Ale „oś ziemi" pozostała w pamięci mieszkańców i nikt już jej z Bernstad nie zabierze. Nawet najstraszniejszy diabeł bowiem nie odbierze nikomu radości życia. Ona tu pozostała we wspomnieniach ludzi, w płomykach świec, w blasku gwiazd i księżyca. Mawiają więc tutejsi, że „diabeł osi nie wynosi", bo ona przypisana jest temu miejscu aż do końca świata i jeden dzień dłużej…

O aniele, małej myszce i wielkim pożarze

– Czy anioły mogą być zmęczone? – zapytał Ambroży. Pytanie nie było przypadkowe, bo Ambroży kochał drzemki, ale trochę się tego wstydził. Szukał więc wokół siebie jakiejkolwiek istoty, która również kochała śnić. – Powinny być czasami – snuł dalej tę myśl – bo przecież muszą zawsze, w dzień i w nocy opiekować się ludźmi, wsiami, miastami i zwierzętami, to bardzo trudne … – aż ziewnął na myśl o tak wielkim wysiłku.

– To się rzeczywiście rzadko zdarza – szepnął mu do ucha patron Zawidowa, Michał Archanioł, który znienacka pojawił się przy skrzatach, przysiadł obok Ambrożego i Kacperka i widać było, że ma ochotę na pogawędki. – A raz się nawet zdarzyło w miasteczku, tak bliskim dla Zawidowa…

– Bliskim?! – zapytał zaintrygowany Kacperek.

– Bliskim, bo zaprzyjaźnionym – powiedział Michał Archanioł. – To było dawno, dawno temu w niemieckim Bernstadt. Przez całe wieki tym miasteczkiem opiekował się dobry anioł, więc nie działo się tam nic złego. Ludzie żyli w przyjaźni, kataklizmy i wojny omijały Bernstadt. A jeśli nawet ktoś się z kimś pokłócił, czy nawet szturchnął, to zaraz potem przepraszał i żyli w zgodzie. To zadziwiające, ale dawno temu w Bernstadt było tak spokojnie, że nawet myszy czy ptaki nie musiały bać się kotów. Nie można powiedzieć, że koty kochały myszy, ale myszki nie wchodziły kocurom w drogę. One z kolei nie czaiły się przy norkach czy dziuplach, żeby polować. Czy to wszystko działo się za sprawą anioła, którego imienia nie pomnę, czy też było to takie nadzwyczajne miejsce z innego powodu – nie wiadomo. Ale jednego dnia, a było to w 1828 roku w Bernstadt było niespokojnie. Niby nic się nie działo, ale ptaki rozjazgotały się okropnie i umknęły z dachów. Myszki biegały zaniepokojone, poruszając malutkimi jak paciorki noskami i wąsami, jakby czując nieznany tu wcześniej niepokój. Anioł gdzieś zniknął. I trudno dziś powiedzieć, czy drzemał, trochę rozleniwiony tym spokojem i zmęczony pełnieniem nieustannej opieki, czy też miał inne ważne zadanie gdzieś dalej.

– I miasto zostało bez swojego anioła? – zapytał sennie Ambroży. – A co to za kłopot, jak ktoś się prześpi z godzinkę…

– Otóż okazało się – powiedział surowo Michał Archanioł – że akurat w tym dniu był to kłopot. Drobne zwierzęta wyczuwały bowiem dym. Jakiś ogień tlił się na poddaszu jednego z domów. Malutki, nie było nawet widać płomieni. I ludzie nie czuli dymu, a nie rozumieli powodów, dla których ptaki uciekły, a myszki biegały przestraszone. Jedna z nich była wyjątkowo zdesperowana, bo w norce w ścianie jednego z domów schowała zapasy na zimę. Siedziała na progu i popiskiwała rozpaczliwie, ale gospodarz nie zwracał na nią uwagi. Po co komu odgadywać, dlaczego piszczy mysz?

Kiedy więc wybuchł pożar, niemal od razu zajęło się ogniem kilka domów. Ludzie nie mieli żadnych szans, by uratować dobytek. Jeden czy drugi wbiegł do środka swojej chałupy, złapał co miał cennego, ale potem uciekał z płomieni patrząc jak one pożerają dorobek całego jego życia.

A myszka, która tak bardzo chciała zwrócić uwagę gospodarza domu też nie uratowała swoich zapasów. Wróciła jednak na zgliszcza, żeby pomagać w gaszeniu ognia. Niewiele mogła przynieść wody, bo – jak każdy wie – myszy są malutkie. Chciała jednak

gasić choćby malutki płomień, żeby uratować chociaż kawałek tej chaty. To był przecież także jej dom.

Chcąc gasić nie widziała jednak, że pod belką, na której siedzi, szaleje ogień. Zajęta swoją pracą nie zwracała uwagi na niebezpieczeństwo. Gospodarz, chcąc ją uratować, rzucił w jej stronę kawałek tlącego się drewna, by skłonić ją do ucieczki. Ale zamiast ją tylko przestraszyć, niechcący trafił w nią i osmolona żagiew pozostawiła na grzbiecie myszki czarną smugę. Zwierzątko uciekło spłoszone, chwilkę później runęły belki i z domu pozostały już tylko zgliszcza.

W ślad za tą jedną myszką uciekły z miasteczka wszystkie. Umykały w pole, gdzie nie sięgał ogień i żar płonącego miasta.

– Od tego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności – powiedział Michał Archanioł – wszystkie myszki spotykane w okolicach Bernstadt mają na grzbiecie smugę czarnej sierści. Taką, jaką na jednej z nich zostawił ślad rzuconego kawałka osmolonej ogniem deski. Ludzie nazywają te zwierzątka „brandmaus", czyli „mysz z pożaru", albo po prostu „bernstadzką myszką".

– A co się działo potem? – zapytał Kacperek.

– Kiedy wrócił anioł, omal nie skamieniał z rozpaczy – powiedział Michał Archanioł. – Bardzo żal mu było ludzi, zwierząt i miasta. Miał do siebie pretensje, że właśnie w tym najtrudniejszym dla miasta momencie jego zabrakło. Ale… uznał, że skoro stało się zło, to znaczy może być ono początkiem dobra. We wspólnym wysiłku, pod opieką anioła ludzie odbudowali miasto. W pracy jedni pomagali drugim i znowu panuje tu zgoda, mieszkańcy są przyjaźni nie tylko wobec siebie, ale też wobec swoich gości, przyjmują ich radośnie, ugaszczają…

– To może odwiedzimy Bernstadt – wysapał Ambroży, usłyszawszy o gościnie rozbudził się od razu. – Ciekawe co tam można smacznego skosztować…

Może chociaż uda nam się znaleźć dom, w którym dawniej mieszkała myszka...

O leśnych zjawach i złotych liściach

– Widziałeś kiedyś złote liście w lesie? – zapytał Kacperek, ale Ambroży był bardzo zajęty oglądaniem, jak krzątają się mrówki, więc udawał, że nie słyszy. Zastanawiał się bowiem, czy tak pracowite istoty, jak mrówki pocą się, kiedy są zmęczone pracą. Samo myślenie o mrówczym trudzie było tak męczące, że zniechęcało go nawet do zastanawiania się nad liśćmi, choćby złotymi. Ale Kacperek nie ustawał.

– Hej, Ambroży, złote liście się sypią!

Na takie słowa Ambroży się ocknął, ale szybko zrozumiał, że przyjaciel sobie z niego żartuje i od razu się zezłościł.

– Czemu mi zawracasz głowę – zapytał zły. – Nie ma złotych liści w żadnym lesie. Co najwyżej można zobaczyć żółte, kiedy opadają jesienią z buków czy klonów. A i one szybko się marszczą i brązowieją, potem butwieją i rozsypują się całkiem…

– Zwyczajne liście może tak… – powiedział tajemniczo Kacperek. – Ale ja mówię o innych, które mogą przynieść fortunę i szczęście. Ale fortunie i szczęściu trzeba pomóc.

To już zainteresowało Ambrożego, który uznawał, że fortuna i szczęście mu się po prostu należy, ale z niezrozumiałych powodów nie natrafił ani na jedno, ani na drugie. Nigdy.

– Słyszałem kiedyś taką rozmowę na targowisku – powiedział Kacperek. – Kobiety mówiły o zjawach, leśnych niewiastach, prawie przezroczystych, które snują się po lasach, szczególnie wtedy, kiedy zalega mgła. Mają długie, ale najczęściej splątane włosy, bo przeciskają się między roślinami, a na niektórych są pajęczyny, krople rosy… I kiedy spotkają kogoś na swojej drodze, to proszą, żeby je rozczesał, a nawet czasami zaplótł warkocz. Jedna z kobiet, które były na targu opowiadała, że spotkała w naszym lesie taką zjawę, która poprosiła o pomoc. Rozczesała włosy tej zjawy pięknie, ułożyła fryzurę, jak z marzeń. Sama się zachwyciła swoją pracą, dlatego kiedy leśna zjawa wcisnęła jej do kieszeni fartucha garstkę starych liści, jako podziękowanie i zapłatę za pomoc, to zrobiło się jej przykro. Nie oczekiwała żadnej wdzięczności, ale upychanie starych liści w kieszeni czyściutkiego fartucha?! To było niegrzeczne. Dlatego po paru krokach, kiedy już zjawa zniknęła, kobieta ze złością sięgnęła do kieszeni i wygarnęła tę kupkę liści na ścieżkę. Ale… kiedy wróciła do domu, zorientowała się, że w kieszeni coś jeszcze zostało. Sięgnęła, by to wyrzucić, zanim upierze pobrudzony fartuszek i zorientowała się, że zamiast butwiejących znalazła… liście ze szczerego złota! Leśna zjawa przekazała jej drogocenny dar, a ona tego nie doceniła! Wróciła do lasu, ale nie odnalazła już garstki złotych liści w miejscu, gdzie je wyrzuciła. Wkoło były już tylko butwiejące…

Zostało jej raptem kilka, które zaplątały się w kieszeni. I to one zamieniły się w prawdziwe złoto. Były tak cenne, że przez wiele następnych lat jej rodzina mogła cieszyć się majątkiem. Kobieta wracała codziennie na ścieżkę, gdzie spotkała wówczas leśną zjawę, by podziękować za hojny dar, ale już nigdy jej nie zobaczyła. Nigdy też później nie zobaczyła ani jednego złotego listka w całym lesie.

Ambroży siedział i słuchał opowieści Kacperka. Z jednej strony czuł żal, że to nie on spotkał leśną zjawę, ale z drugiej myślał, że to chyba nie byłaby przygoda dla niego. Nie umiał rozczesywać dziewczęcych i kobiecych włosów, nie znał się na układaniu pięknych fryzur. Właściwie – potrafił niewiele. Pewnie nie dostałby nawet jednego marnego listka. Zrozumiał wtedy, że każda istota, nawet malutki skrzat może spotkać szczęście w życiu, jednak musi umieć z tej szansy skorzystać, bo ona może nigdy nie wrócić… I zrozumiał, że trzeba coś umieć, żeby swemu szczęściu chociaż troszkę pomóc.

O znikających skrzatach

– Czy my jesteśmy sami w tym lesie? – zastanawiał się kiedyś na głos Ambroży, który chętnie zajmował się wszystkim, byle nie porządkami. Szczególnie, gdy trzeba było zająć się konkretną pracą, a nadchodził czas sprzątania skrzaciej dziupli.

– Nie jesteśmy sami, ale twojego miejsca nikt za ciebie z pewnością nie posprząta – powiedział wprost Kacperek, zirytowany różnymi wykrętami Ambrożego.

– Nie o tym mówię – Ambroży usiłował zmienić temat. – Lasy są wielkie, skrzatów jest podobno mnóstwo, ale nie widziałem żadnego w okolicy. Spotykamy tylko leśne zwierzęta – nie ustawał. A Kacperek na końcu języka miał już odpowiedź, że żaden skrzat tu nie przyjdzie, bo nie chce patrzeć na taki bałagan i powiedział tylko:

– Słyszałem o skrzatach Qertze, ale one żyją blisko wioski Dittersbach u podnóża góry Knorrberg. To daleko stąd, a zresztą – powiedział chytrze Kacperek – nie wiem, czy jeszcze tam mieszkają. Opowiem ci o nich, jak posprzątasz…

Ambroży zezłościł się, że tak łatwo dał się podejść, ale dla ciekawej opowieści był w stanie zmusić się do sprzątania. Wiedział, że Kacperek zawsze znajdował wyjątkowe opowieści.

Kiedy już w chatce skrzatów było czyściutko, Kacperek wyciągnął świeżo zebrane jagody i zaczął:

– To było wiele lat temu – mówił. – Skrzaty, całkiem podobne do nas mieszkały i na górze Knorrberg i u jej podnóża, w wiosce zwanej Dittersbach. Czasami figlowały i psociły w kurnikach i obórkach, ale najczęściej pomagały gospodarzom – zabawiały malutkie dzieci, żeby nie nudziły się, gdy nie ma rodziców. Pilnowały koguta, żeby nie

spóźniał się z pianiem. Zalepiały dziury w ścianach domów, w miejscach niedostępnych dla człowieka, żeby zimą nie wchodził tamtędy do chaty mróz. Ludzie wybaczali skrzatom, że te przesuwały wskazówki zegarów, albo droczyły się z kotami, ostrzegając myszy w stodole, bo wiedzieli, że skrzaty są dla domów bardzo przydatne. Wszystko układałoby się fantastycznie, gdyby nie dzwon…

– Dzwon?!

– Owszem – ludzie nie mieli zegarków, zresztą nie były im one potrzebne. Wstawali o świcie, żeby nakarmić zwierzęta i rozpocząć pracę w polu. Słońce w samo południe podpowiadało, że czas na obiad i krótki odpoczynek. A zmierzch był znakiem, że trzeba posprzątać pole i obejścia domów. To czas, żeby wprowadzić do obór krowy, zamknąć kurnik, żeby chytry lis nie skrzywdził kur… Zegarki nikomu nie były potrzebne, ale…

Ludzie chcieli wiedzieć, kiedy w kościele zaczyna się nabożeństwo, więc zbudowali wysoką wieżę, a na niej powiesili nowy dzwon, którego dźwięk był tak przeraźliwy i donośny, że skrzaty, które mają niezwykle czuły słuch, nie mogły wprost wytrzymać takich dźwięków, gdy niosły się w całej okolicy. Prośby nie skutkowały – wręcz odwrotnie. Ludzie byli bardzo dumni ze swojego dzwonu i z przyjemnością go słuchali, a skrzaty – cierpiały.

W końcu skrzaty postanowiły, że odejdą ze swoich dziupli i domków, bo nie mogły żyć w takim hałasie. Ludzie z kolei nie wyobrażali sobie życia bez skrzatów, ale z bicia dzwona rezygnować nie chcieli.

Pewnego ranka obudzili się i… nie było żadnego skrzata. Została po nich kartka, na której skrzaty napisały, że wrócą do Dittersbach dopiero wtedy, gdy przestanie bić dzwon. I sprawa stała się trudna, mieszkańcy wsi, tęsknią za skrzatami, ale nie chcą się pozbyć dzwonu, skrzaty też tęsknią za swoimi domkami, jednak nie potrafią żyć w miejscach, gdzie bicie dzwonu jest tak dokuczliwe. I – póki co – nikt od lat nie potrafi znaleźć sposobu, by zadowolić i ludzi, i skrzaty.

Ambroży zrozumiał z tej opowieści, że powiedzenie, że dobrze byłoby mieć ciastko i zjeść ciastko jest wciąż aktualne. Jednak nikt nigdy nie powiedział, jak można to zrobić. Tak go zmęczyło i sprzątanie, i rozpatrywanie dylematów, że usnął. Przyśniło mu się, że dzwon nie bije już tak głośno, a śpiewa. Skrzaty wróciły więc i do swoich domków, i do ludzi, więc wszyscy żyli znowu w zgodzie i w harmonii.

Kiedy się obudził to chciał powiedzieć, że znalazł sposób na rozwiązanie tego problemu, ale… zapomniał, jak można nauczyć dzwony śpiewać. I dlatego nie udało się jeszcze nikomu skłonić skrzaty ze zboczy góry Querxe do powrotu. One wciąż przebywają gdzieś w nieznanym miejscu, a Ambroży z Kacperkiem muszą pozostawać sami w wielkim lesie.

Jednak wokół nich jest tak wiele radości i przyjaźni, że nie tracą nadziei na powrót skrzatów do swoich domów na zboczach góry.

Spis bajek

Wstęp 4
O Michale, który od wieku strzeże spokoju małego miasteczka. 5
Strumień zagubionych łez 7
Dmuchawce, wiatr i słodkie sny Ambrożego 9
O dzwonie, który już nie milczy 11
Opowieść Panienki z Mgieł 13
Złote jabłka Zamkowej Góry. 15
Jakub Boehme – niezwykły szewc 17
Opowieść o psotnym aniołku 19
Bez skrzydeł dosięgnąć gwiazd 21
Diabeł osi nie wynosi 23
O aniele, małej myszce i wielkim pożarze 25
O leśnych zjawach i złotych liściach 27
O znikających skrzatach 29

ISBN 978-83-66458-93-2